

18 milionów sprzedanych egzemplarzy na całym świecie

PETER JAMES

W GODZINIE ŚMIERCI

ZEMSTA NAJLEPIEJ SMAKUJE NA ZIMNO



1

Brooklyn, luty 1922

Ojciec pocałował chłopca na dobranoc po raz ostatni, choć żaden z nich jeszcze nie wiedział, że tak jest.

Chłopiec nie potrafił zasnąć bez tego pocałunku. Każdego wieczoru, późno, kiedy już od dawna był w łóżku, leżał wyczekująco w ciemnościach, dopóki nie usłyszał, jak otwierają się drzwi jego pokoju, i nie zobaczył światła wlewającego się z podestu schodów. Potem pojawiała się ciemna sylwetka ojca i rozlegały jego ciężkie kroki na gołych deskach podłogi.

– Cześć, Mały, nie śpisz jeszcze? – pytał ojciec swoim niskim, tubalnym głosem.

– Nie śpię, Duży. Pokażesz mi zegarek?

Ojciec wyjmował zegarek z kieszeni i unosił go, trzymając za dewizkę. Błyszcząca cebula miała dużą tarczę, a na górze koronkę okoloną uszkiem do dewizki. Na górnej połowie tarczy przedstawiono kolejne fazy księżyca. Niebo za księżycem było ciemnoniebieskie, a gwiazdy złote. Czasami księżyc zdawał się prawie niewidoczny, ledwie wyzierał. Innymi razy pokrywał całą tarczę o barwie ochry.

Każdego wieczoru chłopiec prosił ojca, by opowiedział mu o Człowieku z Księżyca. Ojciec zawsze spełniał tę prośbę. Potem mierzwił chłopcu włosy, całował go w czoło i pytał, czy zmówił pacierz.

Chłopiec kiwał głową.

– Śpij już – mówił ojciec.

Później, stąpając ciężko, wychodził z pokoju i zamykał za sobą drzwi.

Ostatnim razem też tak było.

2

Czterech mężczyzn szło chwiejnym krokiem do domu mężczyzny, którego mieli zabić. Trzech z nich zataczało się, bo za dużo wypili, a czwarty dlatego, że za dużo wypił i miał drewnianą nogę.

Chlali, by opanować nerwy, dla kurażu, uspokajali się nawzajem przy brzęku kufli z wodnistym piwem, którym niedawno przepijali whisky w zatłoczonym barze Vinegar Hill. Ten z drewnianą nogą nie był przekonany, że postępują właściwie, ale poszedł z kumplami, bo tak się robi, kiedy się należy do gangu. Idziesz z innymi albo ciebie też zabijają.

Dochodziła północ, ulica była ciemna i wyludniona, bruk lśnił od padającego nieprzerwanie deszczu. Każdy z nich miał rewolwer, a dwóch nosło też kije baseballowe, ukryte pod połami płaszczy. Noc była cholernie zimna. Wszyscy mieli na dłoniach rękawiczki bez palców.

– To tu – powiedział przywódca, wpatrując się w numer na drzwiach jednego z szeregowców.

Para snuła się z jego ust i nozdrzy jak dym.

Na drzwiach widniał numer dwadzieścia jeden.

– Czy na pewno?

– Tak.

– Gdzie Johnny?

– Zaraz dojdzie. Został trochę w tyle.

Nawet w ciemności dom wyglądał nędznie, jak wszystkie sąsiednie w tej nabrzeżnej okolicy Brooklynu. Na prawo od drzwi było zasłonięte okno, a w środku nie paliło się światło. Wyjęli z kieszeni kominiarki i z trudem naciągnęli je na mokre głowy. Przywódca uniósł kij baseballowy i postąpił naprzód.

3

Chłopiec leżał w ciemności, w ciepłe, jakie dawały pizama i ciężka kołdra, i słuchał tykania dużego okrągłego zegara w sypialni. Nasłuchiwał znajomych odgłosów nocy. Buczenia statku przepływającego po ruchliwych atramentowych wodach pobliskiej East River. Turkotu pociągu wysoko nad głową. Skrzypienia sprężyn łóżka za cienką ścianą, gdzie była sypialnia rodziców, jęków ich obojga. Okrzyków matki. Głośnych postękiwań ojca. Łagodnego bębnienia deszczu o dach. Noc miała całą gamę odgłosów. Swoistą muzykę.

Brzęk tłuczonego szkła był całkiem nie na miejscu.

Chłopiec zamarł. Dźwięki dobiegły z dołu, brzmiało to tak, jakby coś stało się tuż pod nim. Czyżby kot przewrócił butelkę whisky i szklankę, którą ojciec co wieczór zostawiał, opróżnioną? Potem chłopiec usłyszał kroki na schodach. Nie kroki ojca. On był już na górze, w łóżku.

Liczne kroki.

Chłopiec leżał w bezruchu, coraz bardziej wystraszony. Drzwi się otworzyły. Silne światło latarki uderzyło go w twarz, oślepiło, więc zamknął oczy. Usłyszał kroki w swoim pokoju. Wyczuł, że ludzi jest kilku, i zaczął trząść się ze strachu. Czuł zapach tytoniu i alkoholu, mokrych ubrań i potu. Gardło miał ściśnięte, z trudem oddychał, serce biło mu jak szalone. Otworzył oczy, ale ujrzał tylko oślepiające światło. Znów zacisnął powieki, roztrzęsiony, drżący z przerażenia. Kroki zbliżyły się do łóżka.

Czyjaś ręka poklepała go żartobliwie po głowie, następnie po prawym policzku, poczuł szorstkość wełny na skórze.

Potem ktoś odezwał się tuż nad nim, zachrypniętym, cichym głosem, z irlandzkim akcentem. Dyszał ciężko.

– Tylko sprawdzamy, jak się masz, dzieciaku.

– Wy... wy... Obudzicie mamę i tatę – wyjąkał chłopiec do obcego, nagle zdobywając się na to, by przemówić, a potem znów otworzyć oczy. Ale widział jedynie rażące światło.

– A gdzie ich znajdziemy?

Mrużąc oczy, chłopiec wskazał kierunek.

– O tam. – Przyłożył palec do ust. – Śpią. Bądźcie cicho. Bo ich obudzicie, i moją siostrę.

Może teraz, jak im to powiedział, wreszcie sobie pójda.

Światło latarki spełzło z twarzy chłopca. Jednak nadal był oślepiiony, przez parę chwil widział jedynie różowe rozbłyski. Usłyszał oddalające się kroki. Szli na palcach. Zaskrzypiała deska. Potem drzwi się zamknęły.

Może sobie poszli. Ludzie często przychodzili do tego domu, o różnych porach nocy. Pili, palili, krzyczeli, śmiali się i kłócili. Głównie się kłócili, a czasem nawet bili. Kiedy się bili, ojciec wyrzucał ich za drzwi. Był dużym mężczyzną. Nikt nie kłócił się z jego ojcem.

Chłopiec naciągnął kołdrę na głowę, żeby tamci go nie zobaczyli, jak wróca.

Po paru chwilach usłyszał wrzask ojca. Później głośny łomot, a po nim kolejny. I krzyk matki. Straszny, okropny krzyk. Potem zawołała:

– Zostawcie go, zostawcie! Proszę! Dajcie mu spokój!

Chłopiec usłyszał, jak jeden z obcych mówi głośno:

– Ubieraj się!

Następnie rozległ się drżący głos matki:

– Dokąd go zabieracie? Powiedzcie mi, proszę! Dokąd?

Minęła minuta. Chłopiec leżał struchlały, dygocząc z przerażenia.

Matka znów krzyknęła:

– Nie! Nie możecie go zabrać! Nie puszczę go!

Huknęło pięciokrotnie, jakby raz za razem zatraskiwano drzwi gdzieś w pobliżu.

– Mamo! Tato! – zawołał chłopiec, trzęsąc się cały z lęku o rodziców.

Teraz tupot na schodach był o wiele głośniejszy, jakby schodzącym nie zależało już na tym, by zachowywać się cicho. Chłopiec usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi na dole, potem ryk silnika i pisk opon. Ale nie było trzasku zamykanych drzwi.

Słyszał tylko okropne echo krzyków matki w swojej głowie.

Potem nastąpiła cisza.

I właśnie ta cisza brzmiała najdonośniej.

4

Leżał przykryty i nasłuchiwał. Wokół panowała cisza. Tylko w uszach mu dudniło i słyszał swój własny sapiący oddech. A może to był tylko zły sen? Cały się trząsał.

W końcu wygramolił się z łóżka, w samej piżamie, kuląc się z zimna, po czym przebiegł po gołych deskach podłogi do drzwi, namacał w ciemności klamkę i chwiejnym krokiem wyszedł na podest. Czuł lodowaty przeciąg, jakby drzwi wejściowe rzeczywiście pozostawiono otwarte. W powietrzu unosiła się słaba woń spalin.

Były też inne, nieznane zapachy. Smród ropy i słodszy, intensywniejszy zapach, który mgliście kojarzył mu się z fajerwerkami na Czwartego Lipca. I jeszcze jakaś miedziana, metaliczna woń.

Macając ścianę, wreszcie odnalazł włącznik światła i go nacisnął. I natychmiast tego pożałował. Wołałby, żeby na zawsze już zapadła ciemność. Żeby nigdy nie zobaczył tego straszego widoku.

Matka leżała na podłodze obok łóżka. Krew ściekała z jej ramienia; cały przód koszuli nocnej był nią nasączony, ciemnoszkarłatna plama wciąż się powiększała. Wszędzie krew, rozbryzgana na ścianach, prześcieradłach, poduszkach, suficie. Matka leżała na plecach, jej czarne włosy zmatowiały od krwi. Brakowało części głowy, z dziury wystawało coś mokrego, skręconego, brązowoszarłego. Drgała i trzęsała się.

A potem, jakby ktoś nacisnął wyłącznik, nagle się uspokoiła.

Chłopiec podbiegł, wołając: „Mamo, mamo!”. Nie odpowiedziała.

– Mamo, obudź się! – Potrząsnął nią. – Mamo, gdzie tata? Mamo!

Nie poruszyła się.

Opadł na kolana, podpełzł do matki i ją pocałował.

– Mamo, obudź się! – Objął ją, znowu potrząsnął. – Obudź się, mamo! Gdzie tata?

Trwała w bezruchu.

– Mamo! – Zaczął płakać, bezradny. – Mamo! – Czuł, że jego twarz i ręce są lepkie. – Mamo, obudź się, obudź...!

– Co się dzieje? Gavin? Co jest? – rozległ się głos jego siostry.

Chłopiec cofnął się, zrobił krok do przodu, potem znów w tył, niepewnie. Idąc tyłem, cofał się ku drzwiom, aż wpadł na swoją trzy lata starszą siostrę, Aileen, ubraną w koszulę nocną i żującą warkoczyk, co robiła zawsze, gdy była wystraszona.

– Co się dzieje? – spytała. – Słyszałam hałas.

– Gdzie tata? – odpowiedział pytaniem chłopiec. – Gdzie tata?

Nie ma go! – Łzy płynęły mu po twarzy.

– Nie ma go w łóżku?

Pokręcił głową.

– Wszedł ze złymi ludźmi.

– Jakimi złymi ludźmi?

– Gdzie tata? Musi obudzić mamę! Ona nie chce się obudzić!

– Jakimi złymi ludźmi? – powtórzyła, bardziej natargywie.

Na podeście była krew. I na schodach. Zbiegł po nich, wzywając tatę, i przez otwarte drzwi wypadł na dwór.

Ulica była wyludniona.

Poczuł krople deszczu na twarzy, a także słonawą woń rzeki. Jego krzyki zagłuszył turkot kolejnego pociągu, który przejeżdżał w górze.

5

Brighton, 28 czerwca 2012

Z daleka mężczyzna wyglądał bardzo elegancko. Dużo wytworniej niż przewalające się po bulwarze nadmorskim w Brighton tłumy ludzi w pstrokatych kostiumach, sandałach, japonkach i kroksach. Dostojny dżentelmen miał na sobie granatową marynarkę ze srebrnymi guzikami, starannie wyprasowane spodnie, rozpiętą pod szyją koszulę i szykowny fular. Dopiero przy uważniejszym spojrzeniu widać było, że kołnierzyk koszuli jest wystrzępiony, marynarka tu i ówdzie nadgryziona przez mole, a gładko zaczesane do tyłu włosy są przerzedzone i miejscami zrudziałe po kiepskim farbowaniu siwizny. Twarz miał wynędzniałą, z trudną do pozbycia się bledością, typową dla więźniów, i malowała się na niej złośliwość. Pomimo drobnej postury – zaledwie metr sześćdziesiąt w butach na słupku – mężczyzna przechadzał się nonszalancko, jakby był właścicielem całej promenady.

Na swojej porannej przechadzce Amis Smallbone rozglądał się wokół i przez okulary przeciwsłoneczne patrzył na wszystko z nienawiścią. Bo nienawidził wszystkiego. Przyjemnego ciepła czerwcowego poranka. Rowerzystów, którzy dzwoniли na niego, kiedy przez nieuwagę zbaczał na ich ścieżkę. Durnych opasłych urlopowiczów ze spaloną od słońca skórą, opychających się różnorakim świństwem. Młodych zakochanych, którzy trzymali się za ręce i mieli całe życie przed sobą.

W przeciwieństwie do niego.

Nienawidził więzienia. A współwięźniów jeszcze bardziej od strażników. Kiedyś był w swoim mieście nie lada figurą, ale wszystko przysło, jak poszedł do ciupy. Nie udawało mu się nawet załapać na lukratywny rynek narkotykowy w więzieniach, w których siedział.

A teraz był na zwolnieniu warunkowym i swojej wolności też nienawidził.

Kiedyś miał wszystko – duży dom, drogie samochody, motorówkę i willę w Marbelli na hiszpańskim wybrzeżu Costa del Sol. Teraz gównó miał. Ledwie parę tysięcy funtów, kilka zegarków i trochę kradzonej zabytkowej biżuterii w pewnej skrytce bankowej, której policja nie zdołała znaleźć.

To swoje trudne położenie zawdzięczał jednemu człowiekowi. Był nim nadinspektor Roy Grace.

Nie czekając na zmianę świateł, przeciął ruchliwą czteropasmową King's Road. Samochody wokół hamowały, kierowcy naciskali klaksony, klęli i wymachiwali pięściami, ale on miał to gdzieś. Jego rodzina wiele kiedyś znaczyła w przestępczym światku tego miasta. Kilka dziesiątków lat wcześniej nikt by się nie ośmielił załapać na Smallbone'a. Teraz z pogardą ich wszystkich zignorował.

Ruszył chodnikiem i gdy kawałek dalej wszedł do kiosku, aż go odrzuciło na widok surowej, poważnej twarzy tego cholernego gliniarza, gapiącej się na niego z pierwszej strony „Argusa”. Krótko ostrzyżone włosy, niebieskie oczy, krzywy nos, a pod tym sensacyjny tytuł:

WZNOWIENIE PROCESU POTWORA Z BRIGHTON

Jak co dzień kupił gazetę i paczkę papierosów oraz wypełnił kupon na loterię, bez zbytej nadziei.

. . .

Wkrótce potem Amis Smallbone wrócił do swego mieszkania w suterenie i usiadł w zniszczonym skórzanym fotelu z połamanymi sprężynami. Na stoliku obok miał szklanekę z whisky Chivas

Regal, a w ustach tłącego się papierosa, i z zainteresowaniem czytał o sprawie. Venner został oskarżony o morderstwo, porwanie i handel nielegalnymi kasetami wideo. W zeszłym roku jeden z oficerów nadinspektora Grace'a odniósł ranę postrzałową przy próbie aresztowania Vennera. Szkoda, że to nie Grace został postrzelony. Najlepiej śmiertelnie.

Fajnie by było.

Ale Amis Smallbone wymyślił coś fajniejszego. Uśmiercenie nadinspektora Grace'a to za mało. On chciał, by ten gliniarz naprawdę cierpiał. Żeby ból towarzyszył mu do końca życia. O tak. To będzie o wiele lepsze. Ból, który nigdy nie minie!

Smallbone zaciągnął się papierosem, po czym zgniótł niedopałek w popielniczkę i osuszył szklankę. Trafił do więzienia jako względnie młody facet, w wieku pięćdziesięciu lat. Wyszedł jako stary, sześćdziesięciodwuletni mężczyzna. Nadinspektor Grace odebrał mu wszystko. A co najważniejsze, te kluczowe dwanaście lat życia.

Oczywiście wówczas Grace nie był jeszcze nadinspektorem – był tylko zarozumiałym, świeżo upieczonym komisarzem, który upatrzył go sobie, namierzył i wrobił, fałszując dowody, a działał cholernie sprytnie. Przez to, że Grace się na niego uwziął, on był teraz skazany na to paskudne wynajęte mieszkanie z tandetnymi meblami i ze znakami zakazu palenia w każdym pomieszczeniu oraz musiał zgłaszać się regularnie do pieprzonego kuratora sądownego, a do tego się przed nim płaszcząć.

Odłożył gazetę, wstał nieco chwiejnie i poszedł do cuchnącego wilgocią aneksu kuchennego, gdzie wrzucił do szklanki kilka kostek lodu wyjętych z zamrażalnika. Minęło dopiero południe, a on ostro główkował. I myślał o tym, jaką frajdę sprawi mu skrzywdzenie Roya Grace'a. Tylko to trzymało go teraz przy życiu. Reszta narodu gorączkowała się olimpiadą – igrzyska zaczynały się już za miesiąc. On miał to w nosie. Zależało mu tylko na wyrównaniu rachunków z Royem Grace'em.

Tylko o tym potrafił teraz myśleć.

Doprowadzi do tego. Usta rozciągnęły mu się w uśmiechu. Musi tylko znaleźć odpowiednią osobę. Znał różnych ludzi z cza-

sów sprzed więzienia, a tam też nawiązał parę kontaktów. Ale
ktokolwiek to będzie, nie wyjdzie tanio, a obecnie to stanowiło po-
ważny problem.

Zadzwoiła jego komórka. Na wyświetlaczu pojawiła się infor-
macja, że numer jest zastrzeżony.

– Tak? – odezwał się podejrzliwie.

– Amis Smallbone?

Nie rozpoznawał tego głosu. Mocny akcent z Brighton.

– Kto mówi? – spytał chłodno.

– Poznaliśmy się dawno temu, ale nie będziesz mnie pamiętał.
Potrzebuję pomocy. Masz kontakty w branży antyków, prawda? Za
granicą? Chodzi o przedmioty dużej wartości.

– A jeśli tak?

– Powiedziano mi, że potrzebujesz pieniędzy.

– A nie powiedziano ci, żebyś nie dzwonił do mnie na pie-
przoną komórkę?

– Tak, wiem.

– To czemu, kurwa, dzwonisz?

– Mowa o dużej forsie. Parę milionów funtów.

Nagle Amis Smallbone bardzo się zainteresował.

– Powiedz coś więcej.

Połączenie zostało przerwane.

6

Ci wszyscy ludzie, którzy mówili, że dziecko całkiem odmieni jego życie, mieli rację, pomyślał Roy Grace. Ziewnął, wykończony po ciągłych niespokojnych nocach, podczas których Cleo wstawała za każdym razem, kiedy Noah się obudził, bo potrzebował karmienia albo zmiany pieluszki. Jeden z kolegów Roya, Nick Nicholl, który niedawno zadebiutował jako ojciec, powiedział mu, że zaczął sypiać w osobnym pokoju, żeby dziecko mu nie przeszkadzało. Ale Roy postanowił, że nigdy tak nie zrobi. Dziecko było wspólnym przedsięwzięciem i musiał sprostać swojej roli. Tyle że czuł się taki cholernie zmęczony – i złachany. W ten lepki sierpniowy dzień, choć otworzyli wszystkie okna, powietrze było nieruchome, ciepłe i wilgotne.

W telewizji leciało nagranie ceremonii zamykającej olimpiadę, sprzed niecałych dwóch tygodni. Oboje z Cleo zasnęli wtedy, oglądając ją na żywo wieczorem. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu czuł się tak zmęczony, a to wpływało na jego koncentrację w pracy. Bez wątplenia cierpiał na syndrom „odmóżdżenia poniewomlęcego”.

Ray Davies, solista jednego z jego ulubionych zespołów, The Kinks, śpiewał *Waterloo Sunset*, więc Roy trochę podkręcił dźwięk, by lepiej słyszeć. Ale Cleo nie oderwała wzroku od książki.

Grace przekroczył ostatnio rubikon czterdziestych urodzin. Od kilku lat z coraz większym przerażeniem myślał o tym kamieniu

milowym. A kiedy wreszcie się pojawił, oboje z Cleo byli zbyt zmęczeni, by odpowiednio to uczcić. Otworzyli butelkę szampana i zasnęli, nie wypijając nawet połowy.

Teraz mieli przed sobą kolejną okazję do świętowania. W tym tygodniu, po długim czasie, zakończyły się formalności rozwodowe związane z tym, że jego żona Sandy została oficjalnie uznana za zmarłą, i wreszcie mógł poślubić Cleo.

Sandy zaginęła w dniu jego trzydziestych urodzin, czyli przed dziesięciu laty, a on nadal nie miał pojęcia, co się z nią stało, czy w ogóle żyje, jak nadal pragnął wierzyć, czy też od dawna jest martwa, jak przekonywali go przyjaciele i krewni, i pewnie mieli rację. W każdym razie po raz pierwszy poczuł się uwolniony i naprawdę gotów, by ruszyć do przodu. Kolejną ważną sprawą było to, że w końcu znalazł się kupiec na dom, w którym razem z Sandy mieszkali.

Popatrzył z miłością i niebywałą dumą na swego siedmiotygodniowego syna. Na tego maleńkiego cherubinka z usteczkami jak pączek róży, na te pulchne różowe rączki i paluszki jak u lalki. Noah Jack Grace, ubrany w biały pajacyk bez rękawów, spał na jego kolanach, wtulony w jego ręce. Przez cienkie pasma jasnych włosów, szczesanych do przodu, przeświecała łysa główka. Grace dostrzegął w twarzy dziecka zarówno rysy Cleo, jak i swoje, a jedna speszona minka, którą Noah czasem robił, przypominała Grace'owi jego nieżyjącego już ojca, również oficera policji. Zrobiłby dla Noaha wszystko. Bez chwili wahania oddałby za niego życie.

Cleo siedziała obok na kanapie, zaczytana w *Pięćdziesięciu twarzach Greya*. Miała na sobie czarną bluzeczkę bez rękawów, a jasne włosy, ścięte krócej niż zazwyczaj, upięła z tyłu. W mieszkaniu unosił się mleczny zapach zasyпки dla dzieci i świeżo upranych rzeczy. Dużo miękkich zabawek walało się na macie do raczkowania, wśród nich pluszowy miś i malutka lokomotywa z serialu *Tomek i przyjaciele*. W górze powoli obracał się mobil ze zwierzątkami i ptaszkami w jaskrawych kolorach.

Humphrey, młody czarny mieszaniec labradora i border collie, ponuro obgryzał kość w swoim koszyku na drugim końcu pokoju.

Kiedy tylko Noah pojawił się w domu, pies rzucił mu kilka pogardliwych spojrzeń, a potem odszedł z podkulonym ogonem, jakby uświadomił sobie, że już nie jest numerem jeden w oczach swego pana, i od tamtej pory jego podejście nie uległo zmianie.

Roy Grace strzelił palcami, przyzywając psa.

– Hej, Humphrey, dajże spokój! Chodź się zaprzyjaźnić z Noahem. Humphrey spojrzał na niego spode łba.

Był wtorek, sam środek dnia, a Roy Grace wymknął się na parę godzin do domu, ponieważ wieczorem czekało go długie spotkanie. Umówił się w Old Bailey z prawnikiem, który był oskarżycielem w procesie szczególnie odrażającego przestępcy, Carla Vennera, mózgu szajki produkującej „filmy ostatniego tchnienia”, aresztowanego w poprzednim roku przez Grace’a. Proces odroczone na kilka tygodni, bo oskarżony twierdził, że odczuwa bóle w klatce piersiowej. Jednak lekarze uznali, że może brać udział w dalszym procesie, który został wznowiony wczoraj.

W tej chwili Roy Grace szczerze wierzył, że nigdy w życiu nie był szczęśliwszy niż teraz. A jednocześnie czuł na sobie brzemię odpowiedzialności. Ta mała, krucha istota, którą on i Cleo powołali do życia. Jaką przyszłość miał przed sobą Noah? Jaki będzie świat za dwadzieścia lat czy więcej, kiedy on stanie się dorosły? Jaki będzie świat przez najbliższych dwadzieścia lat – po których upływie Grace’owi stuknie sześćdziesiątka? Co może zrobić, by go zmienić? Uczynić bezpieczniejszym miejscem dla Noaha? Chronić swoje dziecko przed złem w rymsztoku życia, w którym Venner był tylko jednym z wielu szcurków?

Co może zrobić, by pomóc swojemu synowi radzić sobie z tym całym świństwem, z którym nieuchronnie się w życiu spotka?

Tak bardzo go kochał. Pragnął być najlepszym ojcem na świecie i wiedział, że to oznacza poświęcanie dziecku wiele czasu. Chciał jak najwięcej przebywać z synem, ale zdawał sobie sprawę, że przy jego zawodzie nie zawsze będzie to możliwe.

Od chwili, gdy Noah się urodził, Grace spędzał z synem o wiele mniej czasu, niż zamierzał, z powodu swoich obowiązków zawodowych. Jeśli dopisze mu szczęście i nie dojdzie do żadnych po-

ważniejszych przestępstw, to najbliższy weekend może okazać się w miarę luźny. Był dyżurnym starszym oficerem śledczym i kończył służbę o szóstej rano w poniedziałek. Zazwyczaj każdy na jego miejscu liczył na jakieś efektowne morderstwo, które odbiłoby się echem w ogólnokrajowej prasie, pozwoliło śledczemu zabłysnąć i zwrócić na siebie uwagę szefa policji. Ale Roy Grace miał nadzieję, że telefon będzie milczał.

Czekało go jednak coś innego.

7

Starsza pani usłyszała, że ktoś puka do drzwi po raz trzeci.

– Idę! – zawołała. – O rety, już idę!

Zdjęła z palnika rondel z gotującą się fasolką szparagową, chwyciła swój chodzik na kółkach i ruszyła wolno przez kuchnię.

Wtedy odezwał się telefon. Zawahała się. Jej brat dzwonił codziennie, punktualnie o siódmej wieczorem, obojętnie, czy był akurat w Anglii, czy we Francji, by sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Była właśnie siódma. Staruszka złapała telefon, z wielkimi cyframi ze względu na jej słaby wzrok, i przekrzykując temat muzyczny z czołówki serialu *Emmerdale*, który leciał w telewizji, zawołała do słuchawki:

– Zaczekaj chwilę!

Ale to nie był jej brat. Usłyszała miękki, aksamitny głos jakiegoś młodszego mężczyzny.

– Zabiorę pani zaledwie chwilę.

– Ktoś czeka pod drzwiami! – odkrzyknęła, gmerając przy pilocie, by nieco ściszyć dźwięk w telewizorze.

Potem przyłożyła zniekształconą przez artretyzm dłoń do mikrofonu słuchawki. Mimo podeszłego wieku wciąż miała silny głos. Tylko on jeszcze pozostał jej silny, stwierdzała z żalem.

– Proszę zaczekać! Rozmawiam przez telefon! – krzyknęła w stronę drzwi wejściowych, po czym odjęła dłoń od mikrofonu. – Już jestem, ale proszę się pospieszyć – powiedziała ze swym śpiewnym irlandzkim akcentem.

– Dzwonię z polecenia pani dobrego przyjaciela – oznajmił rozmówca.

– Mianowicie?

– Gerarda Scotta.

– Gerarda Scotta?

– Kazał panią pozdrowić.

– Ależ ja nie znam żadnego Gerarda Scotta.

– Dzięki nam oszczędza dwa tysiące pięćset funtów rocznie na ogrzewaniu.

– A w jakim to sposób? – spytała z pewnym zniecierpliwieniem, patrząc na drzwi i martwiąc się, że fasolka za długo stoi w gorącej wodzie.

– W przyszłym tygodniu przedstawiciel naszej firmy będzie pracował w pani okolicy. Może mógłbym umówić go na spotkanie w dogodnym dla pani terminie?

– Czym dokładnie zajmuje się ta firma?

– Izolacją cieplną poddaszy.

– A po cóż mi izolacja poddasza?

– Jesteśmy najlepszymi specjalistami w Anglii. Izolacja, którą zakładamy, jest tak skuteczna, że jej koszty w pełni się zwrócą w ciągu zaledwie dziewięciu lat, bo tak dużo zaoszczędzi pani na rachunkach za ogrzewanie.

– Dziewięć lat, powiada pan?

– Tak jest, proszę pani.

– No cóż, mam teraz dziewięćdziesiąt osiem lat. Śmiem twierdzić, że w wieku stu siedmiu lat nie będę zaprzętać sobie głowy rachunkami za ogrzewanie. Ale uprzejmie panu dziękuję.

Odłożyła słuchawkę, po czym ruszyła w stronę drzwi wejściowych.

– Idę! Idę, jeszcze chwila!

Brat od dawna starał się ją namówić na sprzedaż domu i przeprowadzkę do mieszkania dla osób wymagających częściowej opieki, ale czemu, u diabła, miałyby tak zrobić? Mieszkała w tym domu od ponad pięćdziesięciu lat. Tu wiodła szczęśliwe życie ze swoim mężem, Gordonem, który odszedł przed piętnastu laty, tu

wychowała czworo swoich dzieci, które także już umarły. Tu stworzyła niegdyś piękny ogród, w którym nadal pracowała. Wszystkie jej wspomnienia były związane z tym domem, były tu również wszystkie wspaniałe obrazy i antyki, które kolekcjonowali z mężem przez całe życie – pod fachowym i byстрыm okiem jej brata. Raz w życiu została pozbawiona swoich korzeni i to się więcej nie powtórzy. Zapowiedziała stanowczo, że jeśli kiedykolwiek opuści to miejsce, które tak kocha, to tylko nogami do przodu.

Jedynymi ustępstwami wobec niepokojów brata były dzwonek alarmowy, który nosiła zawieszony na szyi, oraz gosposia, która zjawiała się dwa razy w tygodniu.

Spojrzała przez judasz. W świetle letniego wieczoru zobaczyła dwóch mężczyzn w średnim wieku, w brązowych uniformach, z zawieszonymi na szyjach identyfikatorami.

Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi.

Mężczyźni uśmiechnęli się grzecznie.

– Przepraszamy, że przeszkadzamy, proszę pani – odezwał się ten z prawej. – Jesteśmy z przedsiębiorstwa wodociągowego. – Podsunął jej swój identyfikator, by mogła go przeczytać.

Była bez okularów, ale spodobał jej się jego irlandzki akcent. Twarz na identyfikatorze, choć nieco zamazana, wydawała się podobna do twarzy mężczyzny z ogoloną głową, stojącego właśnie przed nią. Richard Carroll, tak się chyba nazywał – nie miała co do tego pewności.

– W czym mogę panom pomóc?

– Badamy wyciek wody. Czy zauważyła pani spadek ciśnienia w ciągu ostatniej doby?

– Nie, raczej nie – odparła.

Jednak wiedziała, że ostatnio umyka jej wiele rzeczy. Chociaż bardzo ją to złościło, stawała się coraz bardziej zależna od innych. Ale i tak nadal usiłowała panować, nad czym się dało.

– Czy pozwoli pani, że wejdziemy i zmierzmy ciśnienie wody? Nie chcemy, by policzono pani za wodę, której pani nie zużywa.

– No cóż, ja również bym nie chciała – odrzekła z błyskiem w oku, ze swoim miękkim dublińskim akcentem. Wszystkie te

cholerne udogodnienia służyły tylko temu, by człowieka wycyckać, a ona nie z tych, co na to pozwolą. Pieczołowicie sprawdzała rachunki telefoniczne, rachunki za elektryczność, gaz i wodę. – Zastanawiało mnie, że rachunki za wodę są ostatnio dość wysokie.

– To tym bardziej wskazuje, że jest jakiś problem – powiedział przepraszającym tonem Richard Carroll.

– Proszę wejść.

Trzymając chodzik jedną ręką, odsunęła się na bok, by wpuścić mężczyzn, po czym zamknęła za nimi drzwi.

Niemal od razu nie spodobał jej się ich rozbiegany wzrok. Zlustrowali piękne olejne obrazy na ścianach, a potem stół w stylu Ludwika XIV, stojący w korytarzu. Georgiańską komodę. Georgiańską szafkę. Dwa krzesła w stylu chippendale. Wszystko kupione po okazjnej cenie, wszystko wskazane przez brata, który nieźle znał się na antykach wszelkiego rodzaju.

– Gdzie chcecie zacząć kontrolę, panowie?

Zauważyła śmignięcie pięści mężczyzny ułamek sekundy przed tym, jak uderzyła ją w brzuch, odbierając oddech. Zgięła się w pół, a jej krucha ręka sięgnęła do dzwonka alarmowego.

Jednak został zerwany z jej szyi na długo wcześniej, zanim zdołała go nacisnąć.